

. . . archipelagi . . .

**WOJCIECH  
KUCZOK  
SPISKI**

---



**PRZYGODY TATRZAŃSKIE**

# SPISKI



. . . w serii ukazały się . . .

---

Wojciech Albiński *Achtung! Banditen!*

Lidia Amejko *Żywoty świętych osiedlowych*

Andrzej Bart *Rewers*

Joanna Bator *Piaskowa Góra, Chmurdalia*

Dawid Bieńkowski *Nic, Biało-czerwony*

Szymon Bogacz *Koło kwintowe*

Jacek Dehnel *Lala, Rynek w Smyrnie, Balzakiana,*

*Fotoplastikon*

Agnieszka Drotkiewicz *Teraz*

Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty, Tarot paryski*

*Kabaret metafizyczny, Podręcznik do ludzi, Namiętnik*

Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*

Radosław Kobierski *Ziemia Nod*

Marek Kochan *Plac zabaw*

Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*

Wojciech Kuczok *Gnój, Widmokrąg, Senność,*

*Opowieści przebrane*

Jarosław Maślanek *Haszyszopenki, Apokalypsis '89*

Daniel Odija *Kronika umarłych*

Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich, Wąż w kaplicy*

Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy, Śmierć czeskiego psa*

Sławomir Shuty *Zwał, Cukier w normie z ekstrabonusem, Ruchy*

Sylwia Siedlecka *Szczeniaki*

Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo, Rebelia*

*Żydówek nie obsługujemy*

Marek Soból *Mojry*

Wojciech Stamm *Czarna Matka*

Magdalena Tulli *W czerwieni, Sny i kamienie, Tryby, Skaza*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

**WOJCIECH  
KUCZOK**

**SPISKI**

---

**PRZYGODY TATRZAŃSKIE**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010  
Wydanie I  
Warszawa 2010

*Oznajmuję ci, że będziesz miał różne prześladowania  
w drodze i przechadzki ku tym góróm,  
ale to wszystko będzie od duchów...*

Michał Chrościński, *Opisanie ciekawe Gór Tatrów*

1982

Historia  
fotbolu tatrzańskiego

Stan wojenny wkroczył w fazę plugawego spowsze-  
dnienia, kiedy mój ojciec zdecydował, że należy mi  
skrócić rok szkolny. Po trzynastym grudnia miotał się  
pośród niespełnionych klątw i codziennie wymyślał  
najróżniejsze, nigdy niezrealizowane formy protestu  
przeciw systemowi, jakby chciał się przed nami uspra-  
wiedliwić, że nikomu nie przyszło do głowy go inter-  
nować. Co prawda nie wycofał mnie ze szkoły, nie po-  
chwalał wagarowania, miał surowe baczenie na moje  
postępy w nauce, jednakże konsekwentnie nakazywał  
mi unikać wszelkich oficjalnych uroczystości. Twierdził,  
że każda z nich jest okazją do indoktrynacji; wszelkie  
akademie, apele, uroczyste otwarcia, półmetki i zakoń-  
czenia są po to, żeby młodzież bałamucić, jak powia-  
dał, fanzoleniem, pierniczeniem, a nawet sranieciem gębą  
na temat niepodważalnych zalet socjalizmu. Ojciec  
nigdy nie potrafił powściągnąć języka, kiedy zaczynał  
gadać o reżimie. Matka się zżymała: „Nie powinieneś  
przeklinać, nie dość, że przy śniadaniu, to jeszcze przy  
dziecku”, a on stwierdzał, że wulgarną rzeczywistość  
można opisać tylko wulgarnymi słowami. Kiedyśmy już  
mieli wystawione oceny i zaczęła się pora zastępstw,

skróconych lekcji i wycieczek pod pomnik czerwonoarmistów, ojciec uznał, że nie muszą czekać na rozdanie świadectw:

– Dość, synek, niczego już cię te komuchy nie nauczą, wyjeżdżamy na wakacje.

Zlekceważył groźbę obniżenia mi oceny za zachowanie, mówiąc, że w kraju zniewolonym, okupowanym, do tego tkwiącym już od pół roku w stanie wyjątkowej bezradności, nie wypada mieć dobrych ocen ze sprawowania, dobre oceny ze sprawowania mają tylko przyszli konformiści; w wolnej Polsce, której on nie dożyje, ale dożyję ja, a już na pewno moje dzieci, ludzie nie będą się szczyścić pozytywnymi cenzurkami za sprawowanie otrzymanymi w czasach terroru, kłamstwa i pogardy. Ojciec tym łatwiej wpadał w antypaństwowy słowociąg, im bardziej plugawe spowszednienie ogarniało ludzi, powoli, acz nieubłagane przyzwyczajających się do nowego stadium ponurości i braku perspektyw. Im bardziej ludzie cichli, tym on zajadlej trajkotał, im głębiej się wszyscy zapadali w pogodzenie i otumanienie, tym on wścieklej wygrażał palcem, podżegał i wzywał do walki, oczywiście tylko za zamkniętymi drzwiami swojego domostwa, tylko nas, domowników, a mianowicie mnie, kończącego właśnie trzecią klasę szkoły podstawowej z haniebnie dobrymi wynikami (pochwalał je bez entuzjazmu, jakby żałował, że nie uczęszczam na tajne komplety, nie zakładam uczniowskiej opozycji, ale umiejętność czytania i pisania doskonałą na teks-

tach dobieranych przez komunistyczne ministerstwo edukacji), i moją matkę, zawodowo pełniącą obowiązki gospodyni domowej.

W naszym domu nie pozwolono więc zaginąć duchowi bojowemu, ojciec pokazywał mi do znudzenia egzemplarze broni, której nie oddał, kiedy nakazano, dumny z tego nieposłuszeństwa i powołujący się na nie jako na przykład własnej odwagi, choć przecie chodziło tylko o szablę górniczą po dziadku i sportową śrutówkę. Pieścił, odkurzał, przecierał na glanc szmatką szabelkę i pistolet, o których istnieniu wcześniej nie mieliśmy pojęcia, zalegały bowiem wśród piwnicznych gratów. O ile szabelkę po dziadku ojciec odszukał bez trudu, o tyle znalezienie pistoletu na śrut, którego nie używał od czasów zabaw młodzieńczych, było wydarzeniem wagi historycznej: oto mogła się dokonać prawdziwie nielegalna bierność, w rzeczy samej, wywrotowe zaniechanie: ojciec, nie wychodząc z domu, ba, nie otwierając okien, nawet nie odsłaniając firanek, stał się konspiratorem. Co prawda po śrucie zostały tylko puste pudełka i żadną miarą nie zdołalibyśmy takim straszakiem wygrać powstania, ale ojciec uparcie twierdził, że ta broń ma moc symboliczną, nie o naboje tu chodzi, lecz o ideę, a ja jestem za młody, żeby to zrozumieć.

Z początkiem czerwca w narodzie zapanowało poruszenie, podniecenie, oczekiwanie. Wszyscy nagle

podnieśli głowy, jakby zza wzgórz posłyszeli echo surm, lecz to nie powstanie narodu z klęczek i wspólne wmordębicie wroga przeczuwano, nie nową falę strajków i manifestacji szykowano; choć może i szykowano, może i solidarnie walczyć chciano, jednak tak zwany ogół społeczeństwa był przejęty innym dreszczem i roztrzepotaniem wewnętrznym, w tamte dni zawiązywała się inna wspólnota, rozpatrująca nowy dylemat narodowy: mundial lada dzień, Polska występuje, kibicować jej czy nie kibicować? Kogo nasza kadra pojechała reprezentować do Hiszpanii: ciemieżców czy ciemieżonych? Najtężsi, najwytrwalsi i najbardziej zacietrzewieni antykomuniści, bojkotujący radio, telewizję, teatr, kino, a nawet komunikację miejską (bo autobusy czerwone), ci, którzy dawno wystawili z mieszkań telewizory, nagle jęli odczuwać smutek, a im bliżej było do inauguracji mundialu, tym głośniejsz wzdychali, rozdarci między żelazną konsekwencją a kibicowską pasją.

Ojciec pozbył się telewizora wkrótce po generalskim teleranku, a teraz, w obliczu zbliżających się mistrzostw świata, po raz pierwszy poczuł żal, a nawet panikę, bo jakże tu się nie emocjonować, jakże tu się wyrzec możliwości świadkowania temu, co miało się wydarzyć: Nasi, albo, jak się mówiło na Śląsku, Poloki, jechali wygrać mundial, albo, jak się mówiło na Śląsku, szli na majstra. Chorzowski trener miał doprowadzić reprezentację na szczyty, tym razem już na pewno, do trzech razy sztuka; co się prawie udało Górskiemu i Gmochowi,

miał osiągnąć nosz karlus, Antoś z Hajduków. Oto więc mój ojciec, z nikim niepozostający w dobrosąsiedzkich stosunkach, nie miałby gdzie oglądać mundialu, a co za tym idzie, i ja na szczątkowe relacje z pierwszej takiej świadomie oczekiwanej imprezy musiałbym liczyć w zagłuszanej radiostacji, jedynej tolerowanej przez ojca. Nie uśmiechało mi się to i rozmyślałem już nawet, jak tu się wprosić na piłkarskie wieczory do tych kumpli, których starzy co prawda pozbyli się czarno-białych telewizorów, ale tylko po to, żeby kupić nowe, kolorowe.

Włochy-Polska-Peru-Kamerun, to było zaklęcie brzmiące w mojej łepetynie jak mantra, w takiej kolejności, takąśmy grupę wylosowali i od „Świata Młodych” po „Sztandar Młodych”, od morza do Morskiego Oka, jak kraj długi i niewąski powtarzano tę frazę, zmyślnie zrytmizowany czterowiersz, sylabotoniczny majstersztyk, haiku wyrażające obietnicę emocji porównywalnych chyba tylko z odpieczętowaniem paczki z Rajchu. Nie wyobrażałem sobie nawet cierpień, jakich mogłoby mi przysporzyć nieoglądanie tych mistrzostw, nie chciałem sobie tych mąk wyobrażać, choć nie miałem pomysłu, jak ich uniknąć – zupełnie jak człowiek, który przecie nie myśli o śmierci, choć wie, że go ona czeka niechybnie; myśl o niechybnej śmierci nie była mnie w stanie przerazić tak, jak przerażała mnie myśl o straconych transmisjach, o tych wszystkich meczach, których miałbym nie obejrzeć.

A zatem kiedy mój ojciec wykombinował, że pojedziemy na wakacje wcześniej, moja rozpacz sięgnęła zenitu, albowiem miały wziąć w łeb wszystkie plany lizusowskie. Rychło też się okazało, że jedziemy gdzieś w góry, a wtedy moja myśl, dotąd znająca wieś tylko ze szkolnych czytanek, podążyła do bosych świniopasów, do chat kurnych strzechą krytych, klepisk i zapiecków. Nadzieje, że oni tam mają telewizor, ba, że wiedzą o istnieniu sportów zespołowych, były nader nikłe. Wyglądało na to, że definitywnie pożegnamy się z cywilizacją, że zostaną wywiezieni daleko od kumpli i ich „Rubinów” z zachrypniętym głosem Ciszewskiego i nie będę mógł nawet suchych wyników zapisać w moim kajeciku, bo na wieś to i gazety pewnikiem nie docierają, któżby tam umiał czytać, wśród tych kozodojów, muzykantów, Anielek.

Wyjechaliśmy w dniu inauguracji; jeszcze bez udziału Naszych, ale już mistrzowie zza oceanu mieli prezentować swoją klasę, już pisało się o tym, mówiło, oczekiwało się, gdyśmy przemierzali zakopiankę starym fiatem, rdzewiejącym tu i ówdzie, ukrywającym bliźny pod lakierem koloru kości słoniowej (bo biel była w Polsce Ludowej kolorem nieosiągalnym, przemysł nie produkował lakieru samochodowego w czystej bieli, jakby jakaś klątwa zawisała nad fabrykami: chciałeś auto białe, dostawałeś nowiutkie, prosto z Polmozytu, w kolorze kości słoniowej, modna barwa, mod-

niejsza niż biel, biel byłaby zbyt prowokacyjna w kraju wiecznie przyprószonym, szarzącym i zgębnionym, czysta biel mogłaby kłuć w oko, przeto oferowano biel brudną, nazwaną estetyczniej i światowej kością słoniową).

– Widoki podziwiał, patrzył, głowy nie spuszczał!

– Oglądaj, no, spójrz, zobacz, jak pięknie!

– Nie czytaj, co tam masz, oczy sobie popsujesz, wyrzyj przez okno!

– Znowu ci będzie niedobrze, zaniechaj lektury i zobacz, jak pięknie!

– Jaka przyroda! Coś wspaniałego!

– Ale okolica! Dech zapiera!

Mieli oczywiście rację, bo jak tylkośmy się wtoczyli na wzgórze za Chabówką, Tatry zamajaczyły wśród chmur i choć rodzice dopiero przed Nowym Targiem byli w stanie odróżnić turnie od obłoków, otwarła się przed nami przestrzeń. Zachłysnąć się nią było łatwo, bo przestrzeń się na co dzień wokół nas wciąż kurczyła, zwłaszcza zaś w stanie wyjątkowej bezradności, który zawisł nad krajem powszechnej reglamentacji odzieży, kontrolowanych rozmów telefonicznych i milicyjnych godzin wieczornych. Do otwartej i bezkresnej przestrzeni trudno było ot, tak się przyzwyczaić, ojciec musiał zatrzymać samochód, bo mu się zakreśliło w głowie, matka próbowała odeprzeć zachwytem atak agorafobii. Wyszli przed auto i napawali się, i zaciągali powietrzem, a ja znieruchomiały na tylnym siedzeniu